

Helena Jankowska - wspomnienie

ul. Nowomiejska 8/35

II/1649

82-300 8443g

tel. 487-47

Ślub nasz w grudniu 1937 roku wróżył szczęśliwą przyszłość. Mąż skończył Akademię Weterynarii we Lwowie, ja po trzech latach studiów humanistycznych w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Zamieszkaliśmy w powiatowym mieście Bielsk Podlaski, woj. białostockie. Po roku rodzina powiększyła się - urodziłam córeczkę.

W marcu 1939 r mąż jako porucznik rezerwy otrzymał kartę mobilizacyjną i wyjechał w narazie nieznanym dla mnie kierunku. Pierwsze rozstanie było pełne niepokoju. Po kilku miesiącach ówczesny starosta reklamował męża jako niezbędnego specjalistę weterynarii na tym terenie. Reklamację uwzględniono i powrót do domu nastąpił w lipcu i zaraz w sierpniu spędziliśmy urlop. Pojechaliśmy do moich rodziców na Wileńszczyznę, a potem spędziliśmy dwa tygodnie nad jeziorem Narocz. Wiadomości z prasy i radia wzbudzały niepokój, to też mąż wrócił do pracy, a ja pocóreczkę do rodziców. W Wilnie dostałam się jakoś do pociągu, ale to był już koszmar. W Bielsku mąż wy dostał nas przez okno. 1-go września obudziło nas błękitne niebo pełne słońca i huk eskadry samolotów - bombowców. Z radia napłynęły niewiarygodne wprost wiadomości.

Wybuchła jednak wojna. Mąż wyjechał motocyklem w poszukiwaniu swojej jednostki, a ja po kilku dniach przeniosłam się do przyjaciół na wieś. Wkrótce wtargnęli tu Niemcy obierając dworek na swój sztab. Wszystkich mieszkańców zgromadzono w jednym pokoiku. Gdy znaleźli maski przeciwgazowe znaleźliśmy się w ogromnych opałach. Przechowywaliśmy też lekkie rannego żołnierza bez żadnych dokumentów. Przebrany w cywilne łaski rąbał drewno sprawiając pozory należącego do pracowników domowych.

Pewnego dnia odprowadzałam do szosy z siostrą męża ciocię, która nas odwiedziła z miejscowości odległej o 12 km. Nadleciał niemiecki samolot tuż nad drzewami. Widziałyśmy pilota, strzelca i wycelowany karabin maszynowy. Wiedziałyśmy już o zabijaniu pojedynczych rolników pracujących w polu. Bóg łaskaw - samolot przeleciał, ale nogi miałyśmy "wrośnięte w ziemię, a serca w gardłach".

Niemcy wkrótce odjechali i nadeszły wiadomości, że na naszych terenach są już wojska sowieckie poprzedzone propagandą wyzwolicieli. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że to jest nóż w plecy.

Wracamy do czteropokojowego domu, przyjmujemy jeszcze dwie rodziny i jest nas jedenaście osób. Żołnierze z jednostki męża są rozproszeni i wracają "per pedes". Nakaz władz oddawania radiodbiorników to dla nas cios, ale ryzykując nawet życiem ukrywamy drugi aparat. O określonej godzinie przychodziło kilka osób żeby z nami wysłuchać wiadomości BBC. Jedną ze stałych słuchaczek była Halszka Romanowska, która z dwójką dzieci: Zosia 3 lata i Jędrzek 14 miesięcy wyjechała w ostatniej chwili z Gdyni i zamieszkała "vis a vis" naszego domu. Przebywała u krewnych, którzy byli tak przestraszeni tym, że nie przyznawali się nawet do wiedzy o tym, że jest ona żoną oficera okrętu podwodnego. Przypadek zrzucił, że poznaliśmy się i otoczyliśmy ją wszelką możliwą opieką.

W czasie jednej z tych audycji z Anglii podano wiadomość, że okręt podwodny "Wilk" zdołał przedrzeć się z Bałtyku przez Sund na Morze Północne i szczęśliwie wylądował w W. Brytanii. W owym czasie Bolesław Romanowski był oficerem torpedowym. Wymieniano nazwiska załogi. Po tylu latach nie potrafię opisać reakcji żony i wszystkich obecnych. Losy podporucznika, a później już komandora zostały opisane w książce "Torpeda w celu". W dniu 4 lipca 1947 r. okręt wojenny "Błyskawica" z pełną załogą komandor przyproceedził do Gdyni. Nikt go nie witał i nie miał dla niego rozkazów. Znam dużo szczegółów z następnych lat tej rodziny. Drogo zapłacił komandor za powrót do rodziny i niby wolnej już Ojczyzny, ale to już inna historia.

Wracam do pobytu p. Romanowskiej w Bielsku Podlaskim. Dużo osób przekraczało wówczas "granice" do Warszawy. Myśl ta stała się jej obsesją. Liczyła na kontakt z bliższą rodziną, tym bardziej, że nas wysiedlono na peryferie miasta. Przewodnicy byli mniej lub bardziej uczciwi. Pierwsza wyprawa nie powiodła się, ale za drugim razem wiosną 1940 r. przekroczyła szczęśliwie ten "Rubikon" i zmieniając miejsca zamieszkania przeżyła tam straszne lata wojny.

W latach 50-tych państwo Romanowscy odwiedzali nas. Jestem w posiadaniu książki komandora z odręczną dedykacją jak również nielicznej już zachowanej korespondencji. Jeszcze w liście z 19.05.1976 r, już po tragicznej śmierci swego ukochanego syna i po zawale ze skutkiem natychmiastowym męża, pisze "wiedz, że bardzo często wracam myślami do czasów gdyśmy się poznali i tyle serca od Państwa doznałam". Z listu pisanego 22.10.1980 r: "często myślami wracam do naszej młodości. Jaka była, taka była, ale były siły i nadzieje".

Wstęp zdawałoby się jest odbiegający od przeżyć więziennych i syberyjskich. Jednak w moim odczuciu wypadki opisane, zresztą bardzo pobieżnie, miały jakieś powiązania z dalszymi losami mojej rodziny.

Jak już wspominaliśmy mieszczaństwo w Bielsku Podlaskim. Zagęściliśmy powierzchnię mieszkalną maksymalnie ludożąc się, że w ten sposób unikniemy niepożądanych dokwaterowań. Złudzenia pierzchły gdy naczelnik NKWD upatrzył sobie nasz domek /wynajęty/ na mieszkanie dla siebie. Nas wszystkich wysiedlono do rudery na peryferiach miasta.

Mąż mój Czesław Jakowicki pracował przez kilka miesięcy w swoim zawodzie, ale już tylko jako zastępca lekarza powiatowego, który przybył z ZSRR o swojsko brzmiącym nazwisku Malinowski. Wieczorem 8 lipca 1940 r. mąż został wezwany przez posłańca do biura pod pozorem pilnej sprawy służbowej. Zdziwiony, ale nie przeczuwając niczego pojechał swoją "błaskawicą" /rowerem/. Tam czekało już kilku mundurowych z NKWD i cywil - Żyd. Spotkaliśmy się i można uznać to za szczęście, po sześciu latach. W nocy była szczegółowa rewizja - nic obciążającego nie znaleziono. Wśród naszych znajomych i przyjaciół wielu już spotkał taki los. Wszelkie interwencje nie dawały rezultatów. Tej nocy aresztowano pięć osób, w tym dwóch nauczycieli.

15 sierpnia 1940 r. przyszedł "bojec" wzywając mnie do NKWD. Tam byłam wzięta w krzyżowy ogień pytań przez sowieckiego Żyda o nazwisku Gurewicz, który wcześniej przewodniczył rewizji w domu. Byłam indagowana na różne tematy, ale przede wszystkim kiedy i kogo przeprowadzał mąż przez granicę, z kim się spotykał itp. Ten sam funkcjonariusz niejednokrotnie proponował mężowi współpracę.

Na więzienie w Bielsku był adaptowany klasztor przylegający do kościoła OO Karmelitów. Po przeciwnej stronie ulicy był urząd NKWD, bodajże w dawnej Izbie Skarbowej. Nie pamiętam dokładnej daty /chyba we wrześniu/ przeniesiono męża do więzienia w Białymstoku. Widzenia uzyskać nie mogłam. Pod bramą tej strasznej twierdzy spędziłam wiele godzin na mrozie, i w deszczu, i w upale. Potem była przeprowadzka do więzienia w Łomży. Każde takie przeniesienie okryte było tajemnicą, to też upływało sporo czasu zanim różnymi kanałami trafiałam na ślad męża. Po zaocznym wyroku otrzymałam kartkę od męża, w rogu której zamiast daty były słowa: "5 let isprawitielnogo łagiera, kak bywszyj polskij oficer".

Rodzice moi mieszkali wówczas w powiatowym mieście Oszmiana woj. wileńskie. Chcąc uchronić mnie i dziecko przed deportacją nalegali bym przyjechała do nich. Zwlekłam z decyzją bo miałam nadzieję, że będąc bliżej może zdołam podać paczkę mężowi, czy dowiedzieć się czegoś. Jednak w końcu stycznia 1941 r przyjechał po mnie brat - Eugeniusz Kościukiewicz i pojechałam do Oszmiany.

Już 6 marca przysłała kolej i na niego. Oczywiście nocą szczegółowa rewizja. Zabrano mój aparat fotograficzny. Po dłuższych poszukiwaniach zdołam ustalić miejsce pobytu brata. Był więziony w Starej Wilejce. Zdążyłam tam być tylko raz, bez żadnych pozytywnych efektów.

Oto co pisze koleżanka szkolna, która cudem uniknęła deportacji. Cytuję "Wiem jak ważna dla Ciebie jest sprawa Gienka i chciałabyś dowiedzieć się bliższych szczegółów, ale wiesz jakie to było tajne, obwarowane nawet do dzisiaj, tylko skąpe wiadomości dochodziły. Wiem tylko, że ich nakryli chyba u któregoś Pietkiewicza na zebraniu. Aresztowali /brata z domu/ wywieźli do Starej Wilejki i przed ucieczką 21 czerwca 1941 r /przed Niemcami/ zamordowali w bestialski sposób. Mówiono, że byli wiązani drutem kolczastym, zdzierali skórę z rąk, okropnie męczyli. My byliśmy strasznie zaszczuci, uratowała nas zmiana miejsca zamieszkania, ale Ojca zamordowali w więzieniu 1-I-41 r. Pochowany jest na rosyjskim cmentarzu. Dwóch wujków w Katyniu, dwóch bez wieści. Gdy wybuchła wojna ja pracowałam w szpitalu. Przy Waszej deportacji 20-VI-41 r aresztowanych mężczyzn rozstrzelali w podziemiach starostwa, było to blisko więzienia. Jednego uratowaliśmy ze stosu trupów i wyleczył się w szpitalu. Potem zastrzelili go w jego własnym mieszkaniu w 1944 r /Zawadzka - Grońska/".

Starszy kolega mieszkający w Anglii pisał tak: "Byłem z Gienkiem w jednej celi 3 miesiące, potem nas rozdzielono. Gdy zbliżał się front niemiecki wyprowadzono kolejno więźniów na podwórko. Jedni na prawo, drudzy na lewo. Byłem w grupie Gienka, ale wiedziony jakimś instynktem, za plecami strażnika przemknąłem do drugiej grupy i tak ocalałem" /Józef Dziadul/.

Prosiłam też o szczegóły kolegę - Wiktora Snastina zamieszkałego obecnie w Szczecinie, którego ojciec też zginął od kuli w tył głowy w opisywanych już podziemiach. W odpowiedzi otrzymałam wiadomość, że w/g podanego przeze mnie adresu

przesłał sporo materiałów na temat więźniów z Oszmiany i Starej Wilejki, jak również podał adresy uczestników tej gehenny mieszkających obecnie za granicą. Usytuowania więzienia nie pamiętam. Razem z bratem zginęli: Tadeusz Skowroński, Bolesław Wasilewski, Witold Pietkiewicz, Michał Rozwadowski, Witold Masalski, Rytel, Lipiński, Plut i inni. Reszta więźniów pognano do Riazania, m.in. Witold Hauśewicz, Józef Działuś, Józef Juniewicz - padł z wycieńczenia i został dobity. Tyle dowiedziałam się po powrocie z Syberii. Gdzie są ich prochy? Prawie wszyscy młodzi ludzie należeli do organizacji podziemnych. Ujawnia się wiadomości o masowych egzekucjach albo o ludziach na wysokich stanowiskach. Bezimiennych pozostaną setki i tysiące.

Mąż mój, jak się potem wyjaśniło, w więzieniu łomżyńskim oczekiwał na transport, ale nie zdążyli. Odchodziły pociągi z rodzinami sowieckimi, co widzieli więźniowie z cel szczytowych budynku. Cisza na korytarzach upewniła więźniów o ucieczce strażników. Wyłamali się i uciekli z miasta. Mąż ocalał dzięki wójtowi z pobliskiej wsi, który pociągnął go w zboże, gdzie przeleżeli do nocy. Potem człógali się osiem kilometrów do gospodarstwa towarzysza niedoli. Wielu zdezorientowanych więźniów krążyło po ulicach i zostało rozstrzelanych przez chwilowo wracających strażników sowieckich.

Po przejściu frontu mąż przyszedł do Bielska Podlaskiego, a następnie do Oszmiany łudząc się, że tam ocaleliśmy. Dalsze losy męża to już czasy okupacji niemieckiej i lawirowanie między pracą zarobkową a podziemną. Cudem ocalał, gdy 15-go lipca 1943 r. rozstrzelano w lasach Pilickich całą inteligencję, w tym kobiety z małymi dziećmi na ręku. Takie sytuacje były częste. Po wielu perypetiach doczekał powrotu rodziny i zdawałoby się wolnej już Polski.

19 czerwca 1941 r. przyjechało do Oszmiany kilkanaście ciężarówek pełnych NKWD-zistów. Ludzie byli podminowani, ale i otępieli - wierzyli w cud. Nad ranem 20-go dzwonek u drzwi i walenie kolbą karabinu. Dom był otoczony i oświadczone nam żeby zabierać najpotrzebniejsze rzeczy - będzie przesiedlenie do Baranowicz. W czasie załadunku na ciężarówkę padło w pewnym momencie słowo "chwacit", co rozwiązało medytacje nad tym co ważniejsze. Znajomi rzucili kilka bochenków chleba. Kilka rodzin było już natej ciężarówce. Do dworca było 17 km. Tam już zwieziono już tłumy ludzi i wciąż doczepiano brudne wagony "ciepłuszki". Trzeźwo rozumując starałam się dostać do jednego z mniejszych wagonów

i to było szczęście. Po jednej stronie ulokowała się rodzina Snastinów: matka Ludwika i czworo dzieci /najmłodszy 12 lat/ oraz moja rodzina: rodzice Emilia i ~~Czesław~~ Jan Kościukiewicz, brat Czesław, ja i moja córeczka /@wa i pół roku/. Potem na swoją stronę przeciągnęliśmy jeszcze Bronię Mickiewicz - żonę sierżanta /oczywiście aresztowanego/. Rozpacz jej była podwójna, bo w ostatniej chwili oddała matce swego 10-cio miesięcznego synka. Decyzja na tyle trudna co i słuszna. Po drugiej stronie wagonu była liczna rodzina Kirdzików.

Wciąż liczyliśmy na to, że front niemiecki przetnie nam drogę, ale niestety. Zgryglowano drzwi zostawiając szparę na 10 cm i dwa małe zakratowane okienka. Tak rozpoczęła się trzytygodniowa gehenna przymusowej turystyki na wschód. Początkowo gdy pociąg zatrzymywał się w jakiejś miejscowości podchodziły kobiety z mlekiem. Mieliśmy jeszcze ruble, potem nie dopuszczano w pobliże nikogo. Do Riazania jechaliśmy około dziesięciu dni i nic nie dostaliśmy do jedzenia. Potem raz dziennie dawano wiadro dość gęstej kaszo - zupy i chleb. Mnie zlecono funkcję szafarza. Wywiązywałam się z tej funkcji chyba dobrze, bo jeszcze dz-isiaj wspominają w listach moje towarzyski niedoli. Na szczęście mieliśmy t.zw.prymus, naftę, trochę kartofli, kaszy i tłuszczu więc mogliśmy się dokarmiać w czasie biegu pociągu. W innych wagonach wiele osób słabych, starszych, chorych i dzieci zmarło w drodze. Nasi "opiekunowie" po prostu wyrzucali zwłoki z wagonów, a żywi jechali dalej.

Po trzech tygodniach 15 lipca zatrzymaliśmy się w tartacznej miejscowości - Borowlanka. Dotarło tu tylko dwa wagony, inne odczepiano po drodze. Było tu nas dziewięćdziesiąt osób. Najpierw był upał, przed którym nie było gdzie się skryć, potem przyszła burza z piorunami i ulewą. Widzimy jak miejscowe kobiety niosą ze sklepu wizualnie piękny biały chleb. Moja mała prosi o jedzenie więc jakoś uzyskałam zgodę i pod karabinem idę do tutejszej "ławoczki". Niestety nic z tego, bo zapytano "a kartki imiejecie?" Wychodzę zdruzgotana. Wtem zatrzymują mnie dwie kobiety i ze swych porcji odcinają po kromce. Dławi mnie, ale przyjmuję tę jałmużnę. Późnym wieczorem ładują nas na przyczepę bez burt i wiozą wyboistą drogą w ciemny las. Po 9 km tej karkołomnej jazdy wysadzają przed barakiem. Widzimy dookoła płomyki świec i słyszymy płacz dzieci. Wnętrza izb są niby wybielone, ale pluskwy kapią wprost jak deszcz i gryzą bez litości. Lokujemy się tu jakoś - po jednej stronie Snastinowie, a po drugiej nasza rodzina.

Mowy nie ma o śnie - czekamy świtu. Rano znajdujemy sadzawki-bajorka, w których myjemy się, pierzemy i walczymy z wszami i pluskwami. Potem zbijamy sobie prycze. Trochę głodni, ale na zajutrz już zabrano nas do pracy. Mężczyźni i starsi chłopcy mieli ścinać drzewa w lesie, a kobiety i dziewczęta z łopatami, siekierami i piłami skierowane zostały do budowania drogi dla traktorów. Była to niby praca lekka więc nam nie przywożą w południe żadnego posiłku. Dojście do miejsca pracy trwało godzinę. Przez całe lato dożywiał nas las. Czarnych jagód było wbród, więc kolejno nurkowałyśmy w zarośla by zaspokoić pragnienie i głód. Nauczyłyśmy się przemycać grzyby, z których matki gotowały zupę z kaszą, dopóki jeszcze była. Dwa razy w tygodniu przywożono trochę chleba i nawet cukru. Nie wolno nam było oddalać się z miejsca zamieszkania i pracy. Mieszkało tam również kilka rodzin - wcześniejszych zesłańców rosyjskich. Początkowo stronili od nas zgodnie z nakazem władz, potem ciekawość przemogła. Gdy mój ojciec jako medyk wyleczył młodą kobietę z bardzo ciężkiego zapalenia płuc, wyłudząc ode mnie trochę czarnej kawy dla podtrzymania pracy serca, wdzięczność wyrażona została miseczką ziemniaków oraz innym już traktowaniem. Można to określić jako uznanie i szacunek. Byli to bardzo biedni ludzie, którym nie wolno było skopać więcej wolnych kawałków ziemi, żeby mieć chociaż ziemniaki na zimę.

Wkrótce zaczęły się dla nas jeszcze bardziej ciężkie czasy. Masowe zachorowania na malarię. Zamiast chininy była artechina. Wszyscy poźółkli jak cytryny, a efekty leczenia prawie żadne. Temperatura dochodziła do 40 °C, a potem występowały zimne poty. Nikt nie był w stanie chodzić. Zaczęłyśmy z Lidką Spasi¹n uciekać z pracy, by pomóc w ^{chorowam} pracy. Ścigał nas konno z nahajem w rękę nadzorca o swojsko znowu broniącym nazwisku - Wolski. Nie dałyśmy się schwytać, ale otrzymywałyśmy coraz mniej żywności. Co będzie jak my padniemy? Byłyśmy warte i osłabione. Trwałyśmy ze świadomością, że zima i tak nas wykończy.

Pod koniec września zjawił się na "centralnym placu" naszego "uczastka" ktoś ważny, zwołał mieszkańców i z kwaśną miną oznajmił, że na mocy porozumienia Stalin - Sikorski obejmuje nas amnestia. Możemy wyjeżdżać gdzie chcemy, tylko nie do miast wojewódzkich. Odpowiednie dokumenty dostaniemy w ciągu dwóch tygodni. Radość ale i brak wiary przydeptały nas zupełnie. Dokąd jechać i za co? Czekamy jednak niecierpliwie. Mijają tygodnie, dużo dyskusji i żadnego działania. Któregoś ranka ojciec mój - Jan Kociukiewicz - już po 60-tych, wyniszczony malarią, chory na wrzód

żelazka wyrusza w siną dal. Z Borowlanki pociągiem jedzie do Troicka - miasto rejonowe, tam uzyskuje dokumenty dla wszystkich 90 osób i podpisuje umowę dla siebie o pracę w ambulatorium w Bijsku. Wracając widzi z okna wagonu na sąsiednim torze wagon z naszymi, których w lipcu wcześniej odczepiono z transportu. Dowiedział się od nich, że będąc bliżej większych osiedli wywalczyli wagon i ruszają na południe w kierunku Frunze. Opowiadania tego słuchamy jak bajki o żelaznym wilku wpadając w ogólne podniecenie i płacz. Po nas ma przyjechać lada dzień ciężarówka, ale wszyscy jesteśmy w rozterce i w duchu modlimy się, by to się nie spełniło, bo chcemy być razem na dobre czy złe.

W mglisty i mżawkowy poranek zjawia się zapowiedziana ciężarówka. Jest to zbawienie, czy zły duch? Umowa już jest podpisana. Zostać na zimę tu w lesie oznacza śmierć. Może uda się wyciągnąć stopniowo wszystkich? Nikt do pracy nie poszedł i szerzy się ogólny lament. Lidka Snastin - moja rówieśnica - jedzie z nami. Pożegnanie jest wręcz tragiczne. Po kilku godzinach jesteśmy na miejscu udręczeni i przemoknięci. Jest to dawny monastyr teraz szkoła kierowców - 10 km od centrum Bijska. Kwaterę dostajemy zimną: dość duża sień i pokój z płytką do gotowania i ogrzewania, dwa okienka, żelazne łóżka z deskami i stolik. "Mebłujemy się" ściągając co tylko może się przydać. Przez trzy tygodnie chodzimy z Lidką w poszukiwaniu lepszego dachu nad głową i pracy. Pełno tu "bieżeńców" z Ukrainy, Białorusi, a potem i z Leningradu.

Pewnego dnia przyjechała Lidki mama. Strach przed zimą dodał sił i inwencji. Zdobyli wagon i wyjeżdżają na południe. Propozycja dotyczyła również nas, ale skorzystać nie mogliśmy, przede wszystkim dlatego, że moja córeczka była chora na koklusz, malarie, wietrzną ospę, zapalenie płuc i biegunkę. Jej życie zawdzięczam tylko memu ojcu. Nastąpiło więc jeszcze jedno bolesne rżnięcie.

Wkrótce w Bijsku powstał oddział głównej delegatury polskiej w Barnaule, którym kierował hrabia Żółtowski. Był to jakby kawałek polskiej ziemi. Ludzie, których tam się spotykało, byli już nawet w celi śmierci, przechodzili okropne męki i choroby, o czym najdobitniej świadczył ich wygląd. Na efektywną pomoc brakowało funduszy. Większość zdołano jednak przerzucić do armii gen. Andersa. Jedną z rodzin była p. Jaruzelska z córką i 17-letnim synem Wojciechem. Ojciec już nie żył. Z Litwy wywiezieni byli wcześniej do tej samej co my tajgi w ~~Ati~~Ati, ale inny "uczastok". Internowani polscy oficerowie, którzy początkowo znajdowali się w Kozielsku i Starobielsku są podobno na Nowej Ziemi w okrop-

nych warunkach. Były pogłoski, że powoli wracają. Takimi wiadomościami faszerowały nas miejscowe władze.

Pod koniec listopada 1941 r. nawiązałam kontakt z siostrą i ciotką męża, które też wywieziono z Bielska Podlaskiego. Pracowały w sowchozie bliżej granicy mongolskiej. Mieszkały tam pod namiotami, a tu mamy jednak dach nad głową. Jesień i zima 1941/42 były bardzo ciężkie. Wymienialiśmy lub sprzedawaliśmy ubrania na podstawowe wiktuały.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Mieszkaliśmy nad rzeką Biją i brat codziennie, tak jak i inni, zastawiał w przerebłach przynęty i łowił sporo ryb, które mroziliśmy, by chociaż ta potrawa przypominała tradycje. Na wigilię zebrało się dwanaście osób. Znalazł się kawałeczek opłatka, p. Ogiński był "św. Mikołajem", a goście wyczarowali prezenciki dla mojej Hani. Myślami byliśmy w rodzinnych domach i przy tych, których już nigdy nie mieliśmy ujrzeć.

Na wiosnę dostaliśmy kawałek pola. Ciężka uprawa, ale już następną jesień i zima nie była taka głodna.

Brat wczesną wiosną wyjechał do armii gen. Andersa, ale został zawrócony z drogi, bo generał już wyprowadził swoje wojska do Iranu. Zlikwidowano delegaturę jako niepraworządną, a potem powołano Związek Patriotów Polskich pod egidą Wandy Wasilewskiej. Zaczęto organizować Armię Kościuszkowską w Sielcach nad rzeką Ob. Teraz tam ciągnęły setki byłych więźniów i młodzieży - chłopców a i dziewcząt. Po paru miesiącach przeszkolenia poszli na pierwszy ogień pod Lenino. W piekło, które tam się rozpętało poganiał alkohol. Znałam osobiście kpt. Wysockiego, który tam zginął, także jego żonę i córeczkę mieszkające w Bijsku. Brat - Czesław, został ranny i po pewnym czasie dołączył do swej jednostki, z którą doszedł do Berlina. Jako trofeum wojenne zdobył pociąg do alkoholu, który później stał się tragedią jego życia i całej rodziny. Zmarł w 1986 roku.

Związek Patriotów Polskich zrzeszał rodziny. Nr mojej legitymacji 102211 podpisanej przez Borchęta - Żyda, syna właściciela sklepu "bławatnego" /jak to określano/ z Bielska Podlaskiego. Przewodniczącym w Bijsku był inny Żyd - Winawer. Do tych ludzi specjalnych zastrzeżeń nie mam.

Pewnego dnia lokalne władze wydały zarządzenie zmuszające nas do zmiany obywatelstwa. W razie odmowy - dwa lata więzienia. Cała nasza społeczność odmówiła i pierwsze ofiary znalazły się za kratkami. Nie wiem czym się kierowano przysyłając wezwania do NKWD; bo większość osób pracowała - przecież trzeba było

z czegoś żyć, a do sprzedawania rzeczy było już coraz mniej. Z lnianego obrusa pośpiesznie poszyliśmy plecaki i każdy miał w nich przygotowane najbardziej niezbędne rzeczy i suchary.

Już o wiele wcześniej przygarnęliśmy do naszej rodziny p. Wandę Turską - osobę samotną, pochodzącą z Sosnowca, pracującą w biurze jako buchalter - dobrze znała język rosyjski. Ona właśnie jako pierwsza otrzymała wezwanie. Odprowadziłam ją. Na nic zdały się tłumaczenia, że pracuje a narodowości nie zmienia. Było to jeszcze jedno tragiczne rozstanie. Ja byłam w sytuacji dramatycznej. Co robić z 4-ro letnim dzieckiem? Ustaliliśmy, że wraz z ekwipunkiem miała być przekazywana wybranym osobom. Psychicznie byłam załamana. Po jakimś czasie nasi przywódcy doszli do wniosku, że nasza garstka wobec tego kolosa zarobi najwyżej na Workucie i podpisali żądane papiery. Za nimi poszli inni. Minęło parę tygodni zanim odnalazłam Wandę i wyciągnęłam ją z tego piekła. Liczyliśmy, że w przyszłości ktoś się o nas upomni.

Ojciec pracował za 500 rubli, ja przy nim jako pielęgniarzka, zaopatrzeniowiec w leki i sprzątaczką za 200 rubli, co w sumie wystarczało na kilogram miękkiej wołowiny. Co drugi dzień chodziłam 10 km do piekarni po biały chleb dla ojca /wrzód żołądka/. Nam chleb przywożono, po 500 g dla pracujących i po 300 g dla dzieci i starszych /jeżeli to można było nazwać chlebem/. Najmniej w nim było mąki. Przywożono też wódkę - dla nas był to towar wymienny. Kiedyś na rynku u żołnierza z Taszkientu 1/2 litra na trzy piękne czerwono - złote jabłka. Oszalałam z emocji gdy pokazałam je córeczce, a ta zapytała zdziwiona: mamusia, a co to?" Drobną sprawą wobec innych, ale serce wówczas miałam w gardle.

Pogoda stabilna, lato upalne, a zimy z mrozem do -40°C , częste "burany" - zamiecie śnieżne, na krok nic nie widać. Dwa razy mnie to złapało na rzece pełnej przerebli i nie wiem jakim instynktem wiedzioną po kilku godzinach trafiłam do domu. Były różne wypadki. M.in. pod ciocią wiozącą na saneczkach zdobywcze kawałki drewna na rozpałkę załamał się lód na rzece. Wpadła po szyję - pomogli ludzie miejscowi. Gdy wszyscy domownicy powoli wyzwolili się z malarii zachorowałam ja i trwało to przez rok w trzytygodniowym cyklu. Tydzień trzęsło, ból głowy, pościel mokra od potu, a temperatura do 40°C . Następny tydzień uczyłam się chodzić. W trzecim zaopatrywałam dom w niezbędne, a dostępne prowianty, a ojca w leki. Jako najmłodsza czułam się odpowiedzialna za całą rodzinę. Piłowałam i rąbałam drewno na opał, nosiłam wodę z Biji na koromysłach i to pod bardzo stromą górę - latem piaszczystą, zimą oblodzoną. Czasem z ostatniego stopnia zjeź-

działo się na dół spowrotem do przerebli. Szyłam kaptcie, robiłam na drutach swetry i duże chusty wełniane, za co mieliśmy mleko. Początkowo oświetleniem była "kopciłka", potem uruchomiono małą elektrownię - czynną parę godzin dziennie.

Po podpisaniu żądanych papierów ciocia i siostra męża przynieśli się na drugi koniec miasta /20 km/, gdzie jedna pracowała w przedszkolu, a druga w cukrowni.

Rodzice męża mieli majątek ziemski Zapaśniki koło Witebska. Ojciec zmarł w wieku 42 lat na "plewryt", a matka z czwórką dzieci broniła swego mienia. Najmłodsze dziecko - wówczas 8-letniego jedyne go syna - wysłała przez zieloną granicę na Łotwę do swej rodziny. Siostra Maria po jakimś czasie poszła odwiedzić go tam i już nie mogła wrócić. Matka po trzecim z kolei pobycie w więzieniu sowieckim /jako "pomieszczycza"/ zmarła z chorób i wycieńczenia. Najstarsza córka Zonia i średnia Anusia wyszły za mąż za dwóch braci /Łabędzcy/. W 1929 roku obie z całymi rodzinami zostały zesłane na Syberię. Tam Anusia straciła trzech synów na czarną ospę. Mąż Zoni rozchorował się na serce i po latach pozwolono wyjechać z tajgi do Nowosybirsk. Mąż Anusi został aresztowany w 1937 roku i ślad po nim zaginął. Dzieci Zoni skończyły studia i Halinka została inżynierem, a Jadzia lekarzem. Syn został elektrykiem. Wraz z mężem dopiero w 1966 r. spotkaliśmy się z Zonią, jej córką Halinką i wnuczką Lolą w Dyneburgu /Łotwa/. Spotkanie to było u rodziny, którą niegdyś wysiedlono z majątku Kierany. Były też trzytygodniowe odwiedziny nas w Polsce przez Zonię z wnuczką Lolą. Należy Zoni oddać uznanie, że po spędzeniu życia poza krajem mówiła poprawnie, a także pisała po polsku. W swoim czasie chodziła do polskiej szkoły w Połocku. Urodzona w 1900 r. zmarła w 1984 r. w Nowosybirsku. Kończąc wątek młodości męża podam, że po odzyskaniu niepodległości w 1920 r. przetransportowano go z Łotwy do Polski. Tu wychowywał go i wykształcił wujek - ksiądz i ciocia, która później także była deportowana na Syberię /pod mongolską granicę/.

Z Bijska wiele rodzin wyjechało wcześniej, szczególnie rodzin wyższych rangą wojskowych. Gdy dotarły do nas wiadomości o cofających się wojskach niemieckich za Bug napisałam kilka kartek do znajomych. Pragnęłam wiadomości i bałam się ich. Pierwszy odezwał się mąż - o moim bracie Genku nic nie wiedział.

Minęło jeszcze dwa lata zanim po trzytygodniowej podróży o świcie 14 maja 1946 roku stanęliśmy w towarowym wagonie na dworcu w Białymstoku. Wracaliśmy już luksusowo, bo wagony były z piętrowymi półkami. Nie zamykano drzwi i na postoju wszyscy wyskaki-

wali z naczyniami po wodę, ale nigdy nie było wiadomo jak długi to będzie postój. No i stało się. Wanda z dużym dzbanem oddaliła się i nie zdążyła nawet do ostatniego wagonu. Pieniądzy nie miała. Ogarnęła nas rozpacz - prawdziwa tragedia. Posądzaliśmy kierownictwo pociągu o złośliwość. Naszą interwencję na następnym postoju skwitowano śmiechem. Po dwóch dobach chyba w Omsku siedziny nadal otępiali, a już o zmroku rozsunęły się drzwi, w których stanęła nasza zguba. Boże, Ty zawsze czuwasz nad niewinnością! Za kromki chleba oddała bieliznę, a ktoś z kolejnictwa z odpowiednim zleceniem wsadził ją do osobowego pociągu, którym nas dopędziła. Wszędzie są prawdziwi ludzie.

Nasza rodzina wróciła do kraju w komplecie, ale o bracie Eugeniuszu nadal nic nie wiemy. Ojciec po powrocie jeszcze pracował w Stawiskach k/Łomży, ale chorował coraz bardziej i zmarł w 1950 roku.

Zamieszkaliśmy w Łomży. Mąż miał bardzo dużo pracy, ale młodość i zapał dodawały sił. Utrapieniem były stałe naciski, którym nigdy nie uległ, by zapisał się do partii. Był więc ciągle na cenzurowanym. 6 stycznia 1952 r po powrocie z towarzyskiego przyjęcia został aresztowany pod zarzutem sabotażu.

Z woj. białostockiego były często wysyłane prosieta i warchlaki na ziemie zachodnie. Mąż z Łomży a dr Gajowiak z Bielska Podlaskiego na zlecenie Centrali Mięskiej badali te zwierzęta pod względem zdrowotnym jednocześnie zalecając konwojentom odpowiednie godziny pojenia i pokarmu. Konwojenci pojedli i popili sami zupełnie nie troszcząc się o zwierzęta, które po kilkudniowej podróży dojechały w stanie opłakanym lub nawet padnięte. Aresztowano trzy osoby z Centrali Mięskiej i dwóch lekarzy weterynarii. Po pokazowym procesie konwojentów - pijaczków uniewinniono, dyrektora i dwóch pracowników z Centr.Mięsn. skazano na 1 - 2 lata, natomiast mąż otrzymał wyrok 3 lata, a dr Gajowiak 4 lata więzienia. Po moich interwencjach w kilku ministerstwach, po 14-tu miesiącach 3 marca 1953 r mąż wrócił do domu - sprawa została umorzona. Na moją interwencję w Sądzie Najwyższym o wznowienie procesu w celu uniewinnienia otrzymałam z prokuratury białostockiej wiadomość, że akta sprawy zostały w listopadzie 1963 r oddane na makulaturę.

Po aresztowaniu męża byłam także szykanowana. Zwolniono mnie z pracy w Archiwum Akt Nowych, pomimo tego, że byłam jedynym żywicielem rodziny. W lipcu 1951 r urodziłam syna, a poza tym mieszkała u nas moja mama już jako wdowa. Do mieszkania drzwi wyłamali żołnierze na rozkaz majora z WKR-Łomża, by zająć

gabinet męża. Nie pomogły nawet telefoniczne interwencje ówczesnego I Sekretarza partii /w Łoży/. Szafy z instrumentami lekarskimi i biurko męża z przyborami myśliwskimi zostały niby opieczetowane, ale widziałam jak major cały sprzęt myśliwski bezczelnie zabrał. To była zwyczajna grabież.

Wiele w życiu straciłam i ucierpiałam. Straciliśmy dwa czteropokojowe, ładnie urządzone, miaszkania - rodziców i nasze. Przy deportacji zabrano 16 złotych monet dziesięciorublowych. Wszystko inne co opisałam boli do dzisiaj, ale to była wojna, krzywdzili wrogowie. Najbardziej jednak boli gdy prześladowali bracia - Polacy w ojczyźnie, która śniła się przez długie syberyjskie lata. Mogłam wybrać dobrobyt i wygodne życie, ale poczucie godności nie pozwalało. Nie wzięliśmy przykładu wielu naszych znajomych i przyjaciół. Dzisiaj moimi trofeami są liczne choroby niestety już nieuleczalne. Jednak jeszcze trwam i czekam na opamiętanie tych, którym dobro ojczyzny nie będzie przysłaniała prywatą.